

# Świat MŁODYCH

Nr 1 - wrzesień - 1946

Cena 10 zł

Biblioteka Jagiellońska

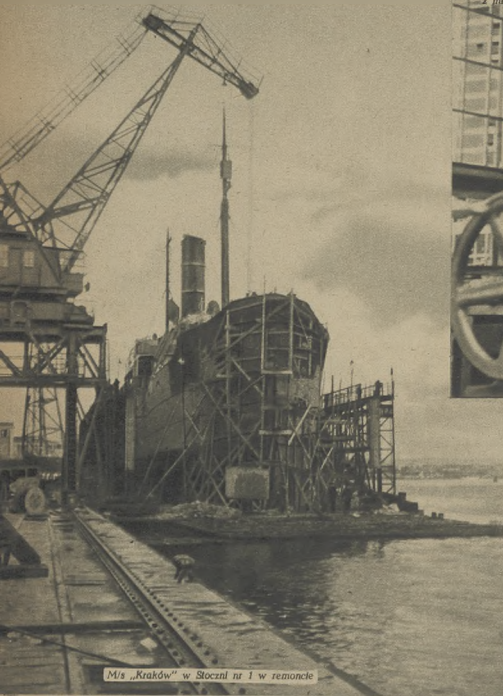


1002861267

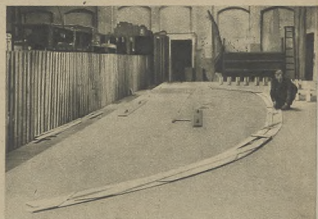
Do nas należy ziemia ogromna,  
Nasze ją ręce ujmą, ażeby  
Na niej zbudować dom dla bezdomnych.  
W domu tym radość dzielić jak chleby.

Władysław Broniewski

Słocinia nr 1. Ob. Wacław Marowski — jeden z młodych entuzjastów pracy w dziale mechanicznym



M/s „Kaków” w Słocinie nr 1 w remoncie



Budowa kutrów w Słocinie nr 3. Najpierw trzeba wyrzycić na dykcie wzór naturalnej wielkości kutra

## Kto więcej, kto lepiej?



Zakładamy na wstępie: chcemy, by nasz kraj rósł w siłę i w znaczenie w świecie. Dłżanie to jest naszym naturalnym obowiązkiem — wypływa z elementarnego patriotyzmu bez względu na przekonania i światopogląd.

Cel ten idzie w parze z indywidualnym dążeniem każdego z nas do podniesienia własnej stopy życiowej — do pomnożenia radości życia i odwrócenia straszliwej.

Zresztą — do czego byśmy tylko nie dążyli — o ile będzie to dążenie do celów szlachetnych, droga będzie jedna.

Trzeba sobie powiedzieć stanowczo: nie jest nią bezpłodne marzytelstwo, rozpyływanie się w żalach i zawiedzionych nadziejach — nie jest nią abstrakcyjny romantyzm bez konkretnej treści czynu — drogą tą jest praca, wzmacniana entuzjazmem, owiana twórczym romantyzmem.

Praca nad zdobyciem wiedzy i codzienna, uporczywa praca w fabryce, na roli, w biurze, na budowie...

Wyokością jej wkładu mierzymy przydatność obywatela dla kraju i dla samych siebie. Ona to określa wartość człowieka — jest sprząwą honoru i czci.

Po raz pierwszy w naszej historii zaistniał właśnie taki stosunek państwa do człowieka pracy. A pracy tej potrzebuje nasz odnowiony, lecz jednocześnie zrujnowany kraj w wysotim jak nigdy nakładzie.

Tę prawdę rozumie każdy uczciwy Polak — najpełniej pojęli ją organizatorzy wysięgu pracy w naszych fabrykach.

Najpierw do wysięgu tego, który można by nazwać wysięgiem honoru i patriotyzmu — przystąpiła jeszcze w zeszłym roku młodzież fabryk łódzkich. Zainicjował ów wysięg Związek Walki Młodych.

Obecnie plomięć współzawodnictwa pracy ogarnął młodzież kilkuset największych zakładów przemysłowych Polski w czterech województwach: łódzkim, śląsko-dąbrowskim, dolnośląskim i poznańskim.

Bierze w nim udział zarówno młodzież zrzeszona jak i niezrzeszona. Jeśli zrzeszona — to przede wszystkim w Związku Walki Młodych i OMI TUR.

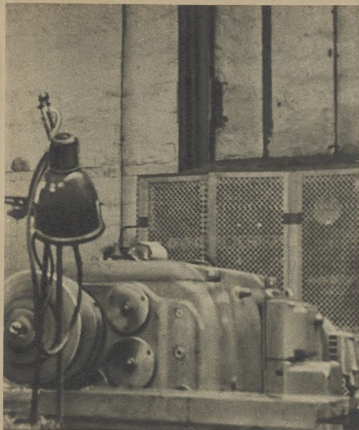
Współzawodnictwo jest indywidualne, oraz współzawodniczą ze sobą całe fabryki i województwa.

Kto więcej, kto lepiej...

I. Zochowski



Ob. Stefan Kłopotnik i ob. Franciszek Sioła robotnikami Wroclawskiej Fabryki Wagonów. Wykonują ponad 100% normy



Przewodniczący koła ZWM  
w Stocznii nr 1 — ob. Kra-  
marz przy pracy w dziale  
mechanicznym



Wrocławska Fabryka Wagonów. Doskonały spa-  
wacz w hall RW 7 ob. Mieczysław Sękała



Dobrze pracuje we wrocławskiej fabryce wagonów  
(RW 4) ob. Władysław Maciejak



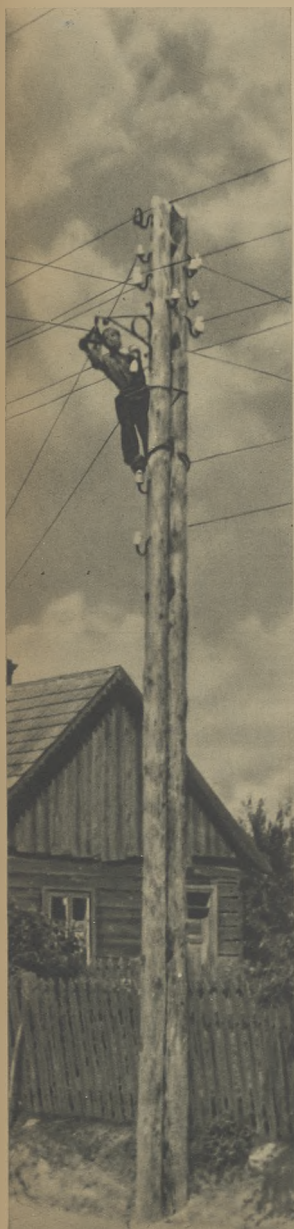
Ob. Si. Tober — jedna z esolowych robotnic  
fabryki kolejkiowej nr 2 we Wrocławiu



Ob. Miraczewska z wrocławskiej fabryki tojansu  
pracuje ponad normę



Doskonała robotnica fabryki wodociągowej we Wro-  
cławiu — ob. A. Khył



## O nową wiesi

### Żarówka pod strzechą

We wsi Jasieniec w kieleckim, podczas okupacji stacjonował sztab jednostki Armii Ludowej. Jednym z oficerów sztabowych był dzisiejszy wojewoda kielecki Wiślicz.

Szeroko znane jest w Polsce nazwisko wojewody kieleckiego — za jego bowiem sprawą na najbiedniejszym, najbardziej zniszczonym przez działania wojenne terenie kielecczyzny tętni dzisiaj wspaniała praca; oto do „zabitych deskami” osiedli setki robotników przeprowadzają sieć elektryczną.

Zamiast kopnącej lampy naftowej i lucyzywa — jasna i wygodna żarówka elektryczna! Przy pomocy prądu można także gotować, prasować i młócić a nawet, stosując oczywiście odpowiednie urządzenia — doić krowy.

Prąd elektryczny porusza młeczarnie i tartaki, pilujące budulec na odbudowę, jest przy tym tani i wygodny w użyciu. Otwiera nową epokę w rozwoju wsi polskiej.

Do 1939 r. zelektryfikowano 450 wsi. W 1945 r. zelektryfikowano 130 wsi. Liczba ta w 1947 r. wzrosła do 450 wsi, w 1948 r. do 600 wsi, a w 1949 r. do 1.000 wsi.

W akcji elektryfikacji wsi bierze żywy udział młodzież wiejska. Od jej entuzjazmu i ofiarności w pracy w znacznym stopniu zależy wykonanie tego planu. — Zapal młodzieńcy tworzy cuda...

Dużo również zelektryfikowanych wiosek mamy na Ziemiach Zachodnich. Przykładem takiej wsi jest Lubowo na Pomorzu Zachodnim. Lecz nie we wszystkich jeszcze wioskach wyremontowano i uruchomiono elektrownie. Czekają one na wprawne ręce młodych mechaników.

A im więcej będzie nas na Ziemiach Odzyskanych, tym bardziej zrosną się one z Macierzą — tym silniejszy i bogatszy stanie się nasz kraj.



*Nowy transformator pod Starachowicami*



*W Lubowie*



*Zmienia się krajobraz naszych wiosek i osiedli*

*W Jaxiecu kobiety prasują elektrycznymi żelazkami*



Pierwsza ofiara



# Wzrost

Po naloce



Nowy Świat — ostatnie dni oblężenia



# 1939

## Zdjęcia dotychczas nie opublikowane w prasie polskiej



Pierwsze ruiny



Epiloo

Nim łapa niemiecka spadła na dywizjon, nim rozproszyła go w masie jeńców, nim się dywizjon ostatecznie rozpuścił, raz jeszcze zagrał sobą, wojskiem, ojczyzną. Stało się to po przybyciu kapitana Łykczewskiego. Gdy dowódca pułku ppłk Dziubiński zginał w szczyt na czołgi pod Miławą w czwartym dniu wojny, kapitan objął dowództwo nad tym co po rozbitku pozostało. Nie widziałem go nigdy, ale co dzień po kilkakrot słyszałem jego nazwisko. Przebywał z szefami żołnierzami na punkcie obserwacyjnym — na tak zwanym w skróceniu po o godzinie poeylatimny co dzień jedzenie. Teraz zobczyłm go po raz pierwszy. Był cały w barwach lata i jesieni — w brązach i w złocie. Miał ciemnozłote włosy, wąski nos w srebrnej, pękatej twarzy, nasyczonej rudociami jak drzewa październikowa. Ubrany był w krótki kombinezon, który przysłał mu się podczas chłodnych nocy września. Patrzył bez przerwy w ziemię.

Podchożył Madaj skrzyknął zbiórkę. Po raz ostatni słyszełm komendy, które wychowały nas, lecz nie przygotowały. Zduszony cęteń strzelił spod popiołów, nogi przebiegł płomień. Madaj odśpiewał zbiórkę porucznikowi Orzechowiakowi. Porucznik Orzechowiak okrzykiem raz jeszcze wyrównał szereg, po czym sam dołączył się do prawego skrzydła, dowództwo zszedłszy kapitanowi Łykczewskiemu.

Po raz ostatni oto stał dowódca przed swolm oddziałem — oddział przed dowódcą, po jednej i po drugiej stronie zdawano sobie z tego sprawę. Patrząc nie na nas, ale w niemo poza nami, kapitan Łykczewski przemówił. Mówił, co powinien był mówić, co mógł. Że żołnierz walczyl ponad wszelkie pochwały, ale przewagi tak wielkiej nie można było wyrównać męstwem. Żołnierz walczyl tak, iż nawet w nieprzyjacielu wzbudził szacunek. Przeciw samolotom karabinem ręcznym. Przeciw czołgom kawalerii. Nie miał czolgów, ani ciężkich dział. Nie miał karabinów maszynowych ani nawet zwykłych karabinów pod dostatkim... Kapitan mówił długo i cicho, lecz chociaż mówił cicho, głos jego przenikał. Zakończył tak:

— Żołnierze! Nasze drogi się rozszedły. Wy powrócicie do domów, nas czeka niewola, nie będzie nas z wami. Będziecie zdani na samych siebie. Uczcie drugich, wy, którzy coś umiecie, ten obowiązek spada na was. Czekać nas w wszystkich ciężkich dni, żołnierz! Pamiętacie, gdziekolwiek będziecie, Polska będzie z wami. Będzie jej godni...

Wszyscy w dywizjonie słyszeli jak ostatnie słowa zamarzył kapitanowi Łykczewskiemu w gardle. Ujrzelismy łzy w jego oczach, przeszedł nas dreszcz. Zaległo milczenie, które parzyło. Kapitan Łykczewski czekał. Kapitan Łykczewski ciągle czekał niemając, iż z wszystkich pierśl dobieżmie się spomnienymy śpiew. Kiedyż w sposób naturalniejszy miałby wybuchnąć jak nie teraz? Falą skargi na ten wiecznie gorzki polski los, rozpacz, nadzieję, wiarę, śpiew powinien był płac zalać, niebia slegnąć — kiedy jak nie teraz. Kapitan Łykczewski czekał mniemając, iż w żywiołowym odruchu otworzą się teraz serca jego żołnierzy. Ale kapitan Łykczewski się nie doczekał. Gdyby miał przed sobą oddział podchorążych, doczekałby się. Ale dywizjon składał się z chłopów. Chłopi milczeli.

Gdy brak fermaty stawał się już zbyt bolesny, kapitan pierwszy zjął czapkę polową i zaintonował „Jeszcze Polska nie zginieła”. Dywizjon podchwycił pieśń. Pierwszą zwrotkę znali wszyscy dobrze, ale im dalej, tym było gorzej, tak że pod koniec śpiewali tylko nie liczn. Pomimo to, gdy się śpiew skończył, wszyscy byli wzruszeni, a niektórzy nawet wyrzeczali łzy. Potem kapitan raz jeszcze zabrał głos. Powiedział, że pragnie niektórych wynagrodzić za ich dzielność. Wyjął z teczki papiery i rzekł:

— Już niestety nie stać Ojczyzny na inną nagrodę. Ale jeśli wam Polska droga, drogie będą wam te papiery i strzec ich będziecie jak oka w głowie.

Powręczał zaświadczenia odznaczonym, ściszał im ręce i salutował. Wszysko to razem było ponad wyraz gorzkiego i cudeń.

**Adolf Rudnicki**

Fragment niezamierzony w książce „Wrzesień” A. Rudnickiego, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich.



Jeden z wybitnych dyplomatów współczesnych powiedział niedawno: „Kolo historii toczy się wciąż, lecz toczy się nie na przódno”. Dopowiadamy od siebie: ktoś na tym traci, ktoś korzysta... Zbrodniarze billerowscy stracą życie, kapitaliści Zachodu stracili prawie pół Europy jako zasieg swolch wpływów... Lecz narody tych obszarów zyskały rzecz bezcenną — zyskały warunki i siłę, aby wiatr pomysłności, jaki powiał ostatnio z zachodu na „bledne” Niemcy” pozostał tylko wiatrem...



„Wielka czwórka” w r. 1919: Lloyd George, Orlando, Clemenceau, Wilson

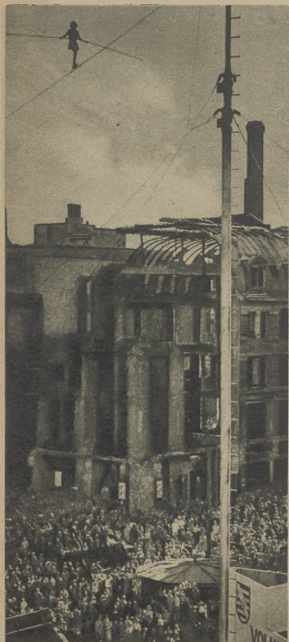


„Wielka czwórka” w r. 1946: Molotow, Bidault, Byrnes, Bevin

## Taniec śmierci

Lipk. Popley akrobatyczne nad ulicą w czasie targów lipskich

Norymberga. Proces przeciwko zbrodniarzom hitlerwskim dobiega końca



Rosenberg



Funk



Goebbels



Streicher

Stopień uświadomienia sobie przez nas i przez wszystkie narody niebezpieczeństwa, jakie przedstawiają próby odrodzenia wielkich i potężnych Niemiec — niemieckich trustów i karteli — zadecyduje o długotrwałym pokoju.

Niemiecki imperializm może nie nazywać się faszyzmem, lecz zawsze będzie oznaczał dla nas śmierć i niewolę.

Niech Aga-Khan wazy się nadal diamentami. Trochę nas to bawi, trochę więcej uczy — lecz wrzuca niewiele. Nie paradzimy na to, że Amerykanie i Anglicy frantezują się z Niemcami i Japonkami!

Lecz patrzmy pilnie na zachód i bądźmy czujni!



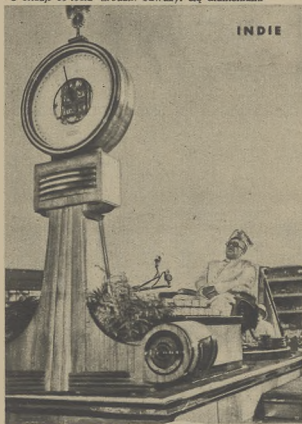


Obrady konferencji paryskiej w Pałacu Luksemburskim

Sytuacja w Indiach.

Nabab i możnowładca hinduski Aga-Khan co rok wydziera się słotem, które rozsmarow goricznymi dla wynędzniałych tłumów hinduskich. W tym roku z okazji 90-letnia urodzin odważył się diamentami

Zrów na widowni



INDIE



Mahatma Gandhi



Panabł Nehru



JAPONIA

W r. 1945

Stala sytuacja polityczna w Indiach w karykaturze



Chandra Bose



W r. 1946  
Przeistancja

# Ludzie ze STARÓWKI

Brudni, przemoczeni i prześmiertli odorem kanałów, siedzieli na rurach, leżących nie wiadomo po co w ogrodzie przy ul. Wiktorskiej. Byli ich kilkudziesięciu i parę kobiet. Wszyscy o twarzach wychudzonych i zmęczonych. Nosili na sobie niemieckie bluzy ochronne, przez co różnili się zasadniczo od żołnierzy mokotowskich, ubranych w zbroję w składach niemieckich robocze kombinizony. Byli dobrze ubrani, mieli Steny i Pepeesze. Czynili wrażenie ludzi śmiertelnie zmęczonych: drzemali siedząc w ogrodzie, chociaż był dzień, a Niemcy ostrzeliwali Mokotów.

Między dowództwem i śledzącymi żołnierzami kursował łącznik. Goście prosił o kwatery, chcieli się umyć i zjeść coś nie dość. Skromne ich żądania natrafiały jednak na duże trudności.

Kwatery? Żywność? Woda?

Wtenczas wszystko to było już luksusem. Wprawdzie przybycie grupy Radosława dla nikogo nie stanowiło niespodzianki — Mokotów powiadomiony został o zamierzonej translokacji — jednak nie uczyniono żadnych przygotowań, które by sprawiły, że zmęczeni i unierzeni w ściekach kanałowych goście, mogliby od razu umyć się i odpocząć. Przyczynę tego stanu rzeczy należało szukać w ciężkim położeniu, w jakim znajdował się Mokotów oraz w nieoznaczeniu daty przybycia gości z Czarnałowa. Poza tym oficjalnymi przyczynami, kryła się także nadzieja, że radosławowcy może zrozumieją groźną sytuację i bądź zostaną, bądź też wycofają się na Pragę.

Łącznik biegł tam i z powrotem, goście denuncjowali się, kwaterymistrzostwo zaś tamowało sobie głowę nad wcale niełatwym problemem przydzielenia kwater i prowiantu przybyzszym.

Wszystko to trwało dobre dwie godziny, nim zaprowadzono gości na wyznaczone przy ulicy Odyckiej kwatery. Wglądali one raczej nuzernie — dwa na pół zniszczone mieszkanka parterowe bez jakichkolwiek mebli — lecz żołnierze nie narzekali, znaleźli wreszcie miejsce do spania.

O wodę musieli się starać sami, z obiadem było jeszcze trochę kłopotu, w końcu i ten szkalup został przewieziony.

Tak skromnie, nawet nieprzyzwoicie skromnie powitał Mokotów obrońców Starówki, którzy szukali na Mokotowie odpoczynku. Dzieło się to wtedy, gdy Mokotów, otoczony zewsząd przez Niemców, drgał w przedśmiertnej agonii, gdy Żoliborz przeżywał najcięższe chwile, gdy Śródmieście-Północ wlaściwie już nie istniało, a Poludnie czekało na swoją kolej. Wtenczas na Mokotowie pojawili się ludzie, którzy zignorowali historię.

Byli wychudzeni, poranieni — to prawda. Lecz zamiast szukać odpoczynku i wytchnienia tam, gdzie mogli go znaleźć, to znaczy za Wisłą, przybyli na walcząca ostatnią tchem Mokotów, aby biernie uczestniczyć w jego klęsce. Bowiem nie brali czynnego udziału w walce. Byli tylko spektatorami. Nikt z nich nie wymagał od nich przystąpienia do akcji. Ale dzieła była ta cała historia.

Ci rośli, dzielni chłopcy widzieli „berlingowców”. Kolegowali z nimi. Mokotowianie interesowali się wszystkim, co tamtych dotyczyło. A więc umundurowani byli „po polsku”! Na Mokotowie mówiono co innego. Pochodzili z lubelskiego. Palali żądzą walki z Niemcami.

Zjawili się pewnej nocy — przypłynęli łódkami na Górny Czerniaków. Jeden batalion. Po nocy chcieli iść szukać Niemców. Ledwie Radosławowcy zdolali wyperswadować im, aby nie czynili tego. To, co udało się w nocy, w dzień było niewykonalne. W dzień „berlingowcy” oszaleli. Zapelnili nie otworzali się w apetycznej walce w mieście. Atakowali, nie kruli się. Wynięgło ich dużo tego dnia. Później byli już ostrożniejsi.



Nocami dowożono przez Wisłę żywność, amunicję i broń. Nocami też odwiedzano tamten brzeg. Niemieckie artyleria prała po rzecze, ale małą łódkę trudno jest trafić.

A tam? Na Pradze?

Praga woła.

Radosławowcy niechętnie mówili o tym, lecz musieli. Pytano ich po sto razy o jedno i to samo.

Praga nie jest zniszczona. Dużo żołnierzy sowieckich i polskich. Ci ostatni tworzą polskie jednostki. Mówią po polsku, noszą się po polsku i opowiadają, że walczą o Polskę.

Radosławowcy niechętnie wspominali o tych rzeczach. Mokotowiancy zaś słuchali uważnie słów skąpych, lecz wystarczających na to, aby wyobraźnia przedstawiała oczom widok Pragi wolnej od Niemców.

Pójdziemy tam?

Żołnierze ze Starówki, szczyry kanalewo, ludzie z żelaznymi nerwami, którzy przeżyli śmierć Staroego Miasta, a później poprzez Śródmieście zawędrowali aż nad Wisłę, by znaleźć się wreszcie na Mokotowie, nie pójdą tam. Ci, którzy mieli pójść, zostali. Część ich kolegów okazała niesubordynację. Nieposłuszni rozkazom dowództwa żołnierze albo już przepawali się na prawy brzeg Wisły, albo zostali z „berlingowcami”.

Później rozmowa zamieniała się w dyskusję polityczną. Radosławowcy bronili stanowiska swoich dowódców, dzielali jej, Mokotowianie zaś w znacznej większości tęsknili do Pragi i tamtej wolności.

Padaly słowa coraz mocniejsze, aż w końcu zostało wypowiedziane i to najgorsze: zdrada.

Radosławowcy byli nieprzejednani. Ani odchodzają „buchnęli” broń swym kolegom zza Wisły, którzy przysli im pomagać. Ani traktowali te Pepeesze jako zdobycze. Tacy byli radosławowcy.

Wszystko to trudno było ogarnąć myślą. A tymczasem doszły wieści, że przyczołk padł. Niemcy przypuścili szturm, „berlingowcy” poniesli krwawe straty, część ich wycofała się na Pragę.

Oni nie umieli być w mieście — mówili z wyższością weterani walk powstańczych.

Zapewne. Ale w ten sposób kościł mokotowski zamknął się bezapelacyjnie. Ostatnia nadzieja na pomyślnie zakończenie batalii zniknęła. O paręset metrów w linii powierzchni na wschód była wolność. Jeszcze dzień temu znajdowała się ona tuż — na Czerniakowie. Teraz

zaś to, co podnosiło na duchu, przestało istnieć. Pozostały tylko przeważające siły niemieckie, pozostała walka za śmiercią. Teraz, w perspektywie najbliższych dni, jest już tylko to najgorsze: utrata życia lub niewola.

Mokotowki odpoczynek ludzi ze Starówki przybrał dość dziwną formę: prawie cały zespół przesadył w ochronach, jedynie w chwilach spokoju aprowizowali się w własną rękę. Tylko nieliczne grupy brały czynny udział w walkach, zgłaszając się ochotniczo.

Jedno jest pewne: radosławowcy mieli znakomitego „niucha”. Wielodolnowa rutyna bojowa uczyniła swoje — odbarzyła ich niezawodnym instynktem żołnierskim w sprawach gospodarczych. W tym czasie na Mokotowie panował głód. Racje żołnierkie były stanowczo niewystarczające. Mokotowianie, posiadając znajomość terenu, rozporządzali swoimi „melnami”, czyli miejscami, gdzie można było coś zamienić, względnie za pieniądze nabyć żywność. W tym czasie było już modne przekształcanie śmiecia spalonych czy zniszczonych bombami domów, w miejsce, gdzie dawniej, gdy dom stał, znajdowały się piwnice, można było znaleźć jeszcze to i owo do zjedzenia. Oczywiście wskazywani byli podobnie, gdyż konkurencja nie darowała iść. Cywile wchodzili żołnierzom w parady, i często można było ujrzeć tych ostatnich buszujących po dymiącym jeszcze, najwęższych ruinach w poszukiwaniu jakichś resztek ocalałego cudem pożywienia.

A Radosławowcy? Oni prowadzili wykwinąłno kuchnię. Zjadali pomidory nawet wtedy, gdy Czerniaków, ojczyzna jarzyn, został zajęty przez Niemców. Oni w jakimś tajemniczy, przez nikogo niezbadaany sposób, zdobywali konserwy i nawet ... chleb.

Czy byli lisowczykami? Czy cywile żywności w ten podgląd? Cześćciwo tak. W głównej mierze wchodził to jednak w rachubę wspaniały, żołnierski instynkt.

Dymy nad Mokotowem rozwały się, a wtenczas nie było już na nim obrońców Starówki. Poniesli dalej swój sen o Starówce — do Śródmieścia.

Tak skończyła się epopea ludzi, których los obarczył obowiązkiem spełnienia największych czynów i którzy na Czerniakowie zbuntowali się przeciw temu nakazowi. Zdołali zejść z wyznaczonej drogi, lecz nie wyszło im to na dobre. Przeżyli swoje bohaterstwo, porucili je. Rozmyślnie zamilieni wielkością na szare, drobne, niepotrzebne postępek.

Sprzeniewierzyli się historii, chociaż mogli się stać jej głównymi aktorami.

# Do wojska...

W całym kraju trwa obecnie pobór do wojska. Na zmianę zwycięzcom spod Lenino, Warszawy i Berlina idzie młodzież rocznika 1925.

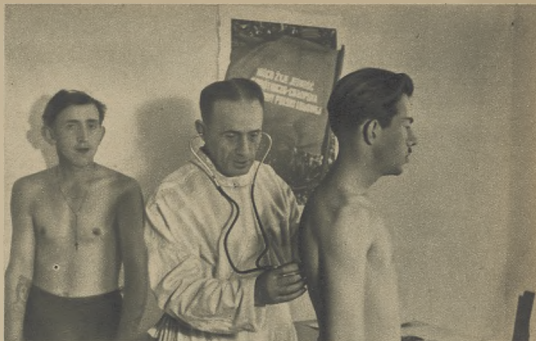
Masowo zgłaszają się też ochotnicy. Wybierają przeważnie broń specjalną — marynarkę, lotnictwo, czołgi. Nie zawsze można się tam dostać, często nie pozwala na to stan zdrowia. Wiele sił wytoczył z nas okupant...

Aby nigdy nie stanął Niemiec na naszej ziemi, musimy mieć silne, doskonale uzbrojone wojsko.

Stać na straży wolności i suwerenności naszego kraju, to święty obowiązek i wielki zaszczyt.

Przed młodymi robotnikami i chłopami stoją obecnie otworem szkoły oficerskie wszystkich rodzajów broni. W Polsce przedwrześniowej trudno było zdobyć szlify oficerskie młodzieży z ludu.

Doskonale uzbrojone Wojsko Polskie z ludowym korpusem oficerskim — to zdobycze demokracji, którą musimy osłonić murem pleśni i stali.



Badanie lekarskie



Przed komisją poborową

Będą służyć pod rozkazami bohaterów generałów. General Świerczewski, słynny generał „Walter” dowódca brygad międzynarodowych w Hiszpanii, dowódca 2-giej Armii, obecnie — wiceminister Obrony Narodowej wśród poborowych.





# czy pamiętasz Lulu?

Był niskiego wzrostu, tylko szczękę niby boksera ciągle miał wysuniętą ku przodowi, reszta to szermiła na froncie twarz, z której wystylały oczy rozszkronie i żywe jak diabeł. Cichą tragedią były tylko dzioby na twarzy po ospie. Chłopcy pomijali ten temat milczeniem, ale Lulu cierpiał w skrytości ducha. Nie miał ani za groź powodzi, pozostało tylko lekkie łypanie oczyma. Mówił, przeciągając słowa i sztucznie pogrubiając głos. Ale to często na nic się nie przydało. I tak, jak z procy, wylatywał piszczyk dyszkanck Lulu. Lulu czerwieniał i odchodził rozgoryczony w kąt, a kompanie ryczała. Jedną była rzecz cudowna w tym chłopaku. Lulu miał niesamowity dar do szachowania. Zwykle o zmierzchu ukradkiem wpadał na kwatere obwieszony paczkami. Łypiąc podejrzliwie wzrokiem w migotliwym blasku świeczki jął je zdejmować a potem otwierać.

Marek siedział na ziemi i grał na organkach „Gwiazdy z nad Rio”. Tęskne, dalekie dźwięki łowiła noc. Reszta leżała na pryzkach. Lulu ostrożnie jął sprawdzać zawartość plecaka. Chwilę macał w osłupieniu, a potem wyrzucił z niego kamienie, kunstownie ukryte w wążce słomy, albo we włosiu materaca.

— Cholera, cholera, cholera! Piszczak na coraz wyższych tonach. W końcu trochę uspokojony ciągnął plecak w następny, zdawało mu się, pewniejszy kąt.

Znów podejrzliwie łypanie oczu i nowe tajemnicze pukunki kryła mroczna głębia plecaka.

A mimo to dobrze było. Chłopcy czuli specjalny sentyment do jego krepki sylwetki i zawsze stawali za nim murem. Wszak tylko dzięki krzykowi i „szumowi” w kompanii dostał starszego strzelca. A mimo to w tych sierpniowych dniach mają przeżywał nowa, cichą tragedię. Przyczyną jej były spodnie. Otóż Lulu wyfasował na Stawkach spodnie przynajmniej o 3—4 numery za duże. Na nic się nie przydał jego rozwścieczony sopranowy dyszkanck, na nic widmo rozpacz w oczach, jak węgle. Musiał je nosić. Co chwila chłopcy będący w pobliżu Lulu słyszeli charakterystyczny szelest. To Lulu z determinacją w oczach pociągał spodnie pod pierś. Pewnego ranka był jak zwykle, rozkaz. Lulu wymaszerował razem z drużyną na linię do pałacu Blanca.

Kłęby dymu, podbite ciepłą barwą pomarańczy, ciągną niskie, ciężkie, jak ołów. Lulu ziewa, wygląda przez okno, a potem ze swoim najenniejszym łupem w rękę — rozczłkiem gazetki Miki-Mousse rozciąga się w niedalekiej pozie Petroniusza na oknie. Tam naprzeciw gmachu Opery są Niemcy. Po pierwszych, „ciepłych” dniach ochłodzi już całkowicie. Swojaki, mówili z pogardliwym wyłączeniem warg podchorąży, dowódca drużyny. Teraz tylko czasem zaterkoczą wrywaną serią k.m. albo przetrną powietrze jak plaster grzechołem Berg-

mana. Ciesza. Słońce dojrzeła. Jego złości stała siatka osłada niby szczerle przylegający dywan na murach wlicy, domów, na policzkach Lulu.

Lulu marzy. Jest dobrze, jest ciepło. W dol odchodzi zle obrazy, ogień jak morze, walące się, skopcone mury i śmierć i ciasta oddanych barykad. Jasnym płacem nieba i ziemi maluje się pejzaż Starówki, tej od Wisły. Na Rynku — śnieżyasty puch, stęda gołębi jak kule. Świeczki ogniem błyszcząco u zachodnich szych. Ciesza.

Mrok ścięle się fioletowymi płatami po bruku, po stromych płaszczyznach ścian, bliższych w niebo. Czerwony krąg schodzi zza Wisły posępny i niesamowity. Światło pełzające po fall — to ruszający różowy płomyk. Teraz z tych miejsc wyrwał do nieba ogień. W nim walczą ludzie, w nim umierają...

Iagle powietrze zaniosło się grzechołem broni. Raz po raz szmatycznie, jakby w przypleszonym gorączkowym oddechu grają serie pieemów. Raz, drugi, jęknął pociek paneca. Potem salwa karabinowa. Lulu jest leniuchem. Powoli, niezadarnie przewraca się na bok i spoziera wąskim, drobnym kącikiem oczu.

— Rany. W tej chwili jest na nogach, łapie za „Błyskawicę” i pędzi jak kula w dół. Uciek! Piku — maskotka kompanii.

— Piku, Piku, jęczy serce Lulu. Chłopcy wynurzają się, jak spod ziemi. Podchorąży ma spuchłą, niesamowitą twarz. Krzyczy z rozpaczą ciągle to samo w kółko: cholera nie pies, cholera nie pies.

Na placu przed Operą jest słońce. Pikuś ma figlarnie do góry zadarty ogonek, stępa z doświadłą powagą i namaszczaniem.



W. H. ... 1918

Nowe, terkocze serię spod Obery. Płomyki na asfalcie. Pikuś z niesmakiem odwraca się, patrzy spod skołunionej sierści na chłopców.

— Chodź, cholero, chodź. Szepcze z rozpaczą i błaganem w głosie podchorąży. Teraz Pikuś przeciąga się leniwie, kusząco kokietuje. Lulu podciąga z desperacją spodnie, jednym potężnym sussem wakakuje na okno.

— Siedź na d., jak ci dobrze. — Ryczy podchorąży, drapieżnie, ze złością chwytając za spodnie i ściąga Lulu z okna. Spodnie pękają, ukazuje się wąskie pasemko niepewnej białości.

Znów płomyki wokół Pikusia. — Zabijają go jak psa, jęczy czyjś znękany głos. Podchorąży ma twarz bladą jak papier. — To pewnie jakiś wołksterieński pies, szepcze Lulu i przysuwając bliżej „Blyskawicę”.

A potem piejącym dyszkanem, równomierne, ciągle zaczyna skandować: — Pi-kuś, Pi-kuś!

Chłopcy podchwytyją i po chwili jeden ryk przylgnięta strzały Niemców: — Pi-kuś, Pi-kuś!

A potem głośnie hurra, hurra.

To Pikuś majestatycznie zawraca w stronę placu Blanca i drobniutkim, dystyngowanym krokiem wbiega na podwórze.

Gonią go ostatnie, gniewne kule Niemców. Nie ważne. Podchorąży ma łzy w oczach. Krzyczy ostrym, zdenerwowanym głosem.

— Zdaleka od okien. Zdaleka od okien. „Pantery”.

Ale Lulu już tego nie chce słyszeć. Rozpaczyliwym gestem podciąga spodnie. Znów jest okno, wpołzięca, niebąba pozycja Petroniusza i gazetki Miki zakrywają całą twarz. Gniewny pomruk w dali, a potem wybuch rzucający jak piłą.

Gazetka Miki zerwała się w pół. Lulu o garnie wściekłość:

— Akurat, cholera w tym miejscu — myślę ze złością, podnosi twarz. Teraz był tylko oślepiający blask. Kaśliwe żądzelka na policzkach i Lulu z impetem siada na podłodze. Zwolna, jeszcze w rozlżnięciu przeciera oczy.

Pokój jest oblokami dymu, we włosach pełno odprysków tynku. Coś maże się po twarzy. Krew. A jednocześnie policzki coraz mocniej, coraz niezdóbniej zaczynają piec. Z obłoków na podwórzu wyrusza się głos podchorążego zdarty i nieopanowany:

— Gdzie Lulu, gdzie Lulu!

Lulu podnosi się. Kurczowo chwytając za „Blyskawicę” przy szczy i zataczając się niezadarnie wychodzi na podwórze. Witą go ryk chłopców.

— A żebć cę... — szepcze z jękiem i pociąga gęsto porwane spodnie ku órze. I taki ukazuje się chłopcom. Twarz zalana krwią, sam przywiązany do swojej „Blyskawicy” jedną ręką, a ze spodniami w drugiej. Tylko gęba niespodziewanie rozjaśniona nadziemskim uśmiechem. Kładąc się na nosze, ciągle obmacuje twarz, teraz już tylko czubek nosa, wyglądający spoza bandażu.

— Co ty tam gmerasz — warczy gniewny głos. Podnosi oczy. Podchorąży stoi tuż koło nosy i z rękoma w kieszeniach przygląda się badawczo.

— Panie podchorąży, ja już nie mam dziobów... ja już...

— Jaktó, coś ty...

— Mnie posunął z Pantery, z Pantery — zanosi się radonym lkanem.



Rzeczywiście, twarz Lulu jest jedną krwawą masą. W szpitalu na Barkowej dziewczęta patrzyły na niego z serdecznym współczuciem.

— Ale teraz z punktu zaczęły się Lulu perypetie. Teraz zdacie broń — mówi z powagą służbowo na korytarzu — dajcie.

Lulom momentalnie podrzucilo.

— Co frajera szukacie — zaplątał się i nagłym ruchem okręcił sobie rzemień „Blyskawicy” wokół szyi. Walaj stąd.

— Oddaj, bo pójdę po kapitana, grozi niepowenie służbowy.

Lulu w międzyczasie schował „Blyskawicę” i siedzi pod koldrą. Wyściubił nos. — Piesz podanie na skład desek, na skład desek, a potem z wymownym gestem: Piter.

To z miejsca ucinano wszelką dyskusję. Ciż, jaka nastąpiła potem, trwała do śniadania. Hanka, gdy przyniosła chleb i kawę, trąciła z lekką zwinnością kłębek.

— Co? — otworzył oczy. Chciała podać.

— Nie potrzeba, oburzył się, albo ja ranny, czy co. Podniósł się, schwylił za dymiący kubek, przyłożył do ust.

W chwilę potem ścianami wstrząsnął niespodziewany, a potężny krzyk: — Taką lurę dajecie.

Nagłym szarpakiem wyskakując z łózka i w kałonach z „Blyskawicą” uwiązaną przy szyi pędzi niby ostatni ulan księcia Józefa korytarzem na górę.

Tam rozmowa była krótka, ale smac gorąca. Lulu znalazł się cały jak w słońcu. Potem na ostatku jeszcze raz podciągnął spodnie, przerzucił „Blyskawicę” i tyle go widział szpital na Barokowej. W dwa dni później Lulu dostał w „czapę” na barykadzie. I wtedy siedział nad rocznikiem Miki. Granatnik rozbrajał skroń. Gazetka Miki była cała we krwi. Lulu leżał skrzyżowany jak dziecko z pięściami przy oczach...

— Siostrzyczki kochane, dawajcie cluchy, — uśmiechnął się cały jak w słońcu. Potem na ostatku jeszcze raz podciągnął spodnie, przerzucił „Blyskawicę” i tyle go widział szpital na Barokowej. W dwa dni później Lulu dostał w „czapę” na barykadzie. I wtedy siedział nad rocznikiem Miki. Granatnik rozbrajał skroń. Gazetka Miki była cała we krwi. Lulu leżał skrzyżowany jak dziecko z pięściami przy oczach...

Zygmunt Chram-Piórkowski

Broń zdobywano na wrogu. Trzeba ją było starannie czyścić i konserwować aby była niezawodna.



# MAQUISARDS

Było ich wielu... Tysiące, dziesiątki tysięcy... Byli dumą narodu i postrachem dla wroga.

Ich imieniem — matki — jak przeczudną legendą usypiały swe dzieci. Dla pokrzywdzonych byli Zemstą, dla ponionych Nadzieją. Dla całego ludu francuskiego — rozwiązanym sztandarem, wiodącym w bój.

Maquis — wyrząz powstały na Korsyce za czasów dawnych walk wyzwolających przeciw Włochom, a oznaczający górska strykę powstańców — przeniósł się do Francji i szybko rozpowszechnił się tam podczas okupacji niemiecko-włoskiej.

Cele okregi krajów górskich jak Savoie, la Dordogne, opasowane były przez Maquisardów, którzy nie chcieli pogodzić się z niewolą. Stały się one wybitnie masowym schronieniem młodzieży, a często i całych rodzin w 1945 r., kiedy to zaczęto wprowadzać w życie dekret o przymusowych robotach w Niemczech.

Tam — w maquis górskich — ćwiczyli się, organizowali napady na wroga, zadając mu niespodziewanie ciężkie ciosy. Ich zadaniem było dać poczuć wrogowi, że się nie znajduje w kraju okupowanym, lecz wrogim. Poza materialnymi szkodami, wypełnienie tego hasła miało olbrzymie znaczenie moralne. Wróg nie czuł się nigdy pewny, nie wiedział, z której strony padnie cios; na drodze, w knajpie, w pociągu, czy w sztabie. Jednocześnie z walką na śmierć i życie wypowiedzianą Niemcom, maquis walczyło przeciw swym rodzimym faszystom, współpracownikom z okupantem, tzw. „kollaborateur”.

W Maquis przeżywała młodzież różnych przekonań politycznych (poza faszystami), zjednoczona jedną wspólną ideą walki z wrogiem, walki z faszyzmem.



Partyzanci wyruszają do akcji

Jako najbardziej bojowa i aktywna grupa wyróżniała się F.T.P.E. (Francs libeurs — Partisans Français, czyli Wolni Strzelcy — Partyzanci francuscy). Ci byli trzonem bojowej akcji, prowadzili młodzież do walki bezpośredniej, walczyli jednocześnie ideaowo z niebezpiecznymi hasłami tzw. stantynizmu, z hasłami „wyczekiwania z bronią u nogi”.

Nie można mówić o ruchu oporu we Francji bez zaznaczenia olbrzymiej roli, jaką ode-

grała antyfaszystowska emigracja do Francji. Jej wkład polityczny i bojowy, ofiary poniesione w walce o wyzwolenie, głównie w szeregach F.T.P.F.M.O.I. (grupy partyzantów-immigrantów), które były częścią szkieletową organizacji partyzantów francuskich, były ogromne. W większości byli to ludzie zahartowani już poprzednio w bojach z faszystami (Polsacy, Jugosłowianie, Hiszpanie, Bułgarzy, Włosi, Żydzi, Węgrzy, Rumuńi) i w szeregach Mię-



Partyzanci ruchu oporu



Ob. Żyła (pseudonim „Józef”) — górnik polski z Mayrenil (połudn. Francja), żołnierz ruchu oporu



Grupa partyzantów MOI FTP w okręgu Mayrenil przeprowadza akcję



Partyzant francuski



Stanisław Oboda (pseudonim „Bolek”), górnik polski, walczący o wolność Republiki Hiszpańskiej. Jeden z czołowych bojowników ruchu oporu we Francji. Rozstrzelany przez Niemców w Paryżu 1942 r.



Marysia Dłamek — emigrantka polska we Francji, żołnierz ruchu oporu. Aresztowana i więziona przez gestapo. Stracona na gilotynie 1944 r. w więzieniu w Wroclawiu

dzynarodowych Brygad w Hiszpanii, zapalenia duchem niemiłości i zemsty do wroga. Ludzie ci, dzięki odwadze i doświadczeniu, wysuwali się na czoło.

Kiedy ruch oporu we Francji wysunął hasło: „demoralizować szeregi wroga”, spełnienie tego zadania w dużej mierze przypadło w udziale R.T.P.F.M.O.I. We Francji w tym okresie stacjonowały duże jednostki wojsk niemieckich, składające się często z przymu-

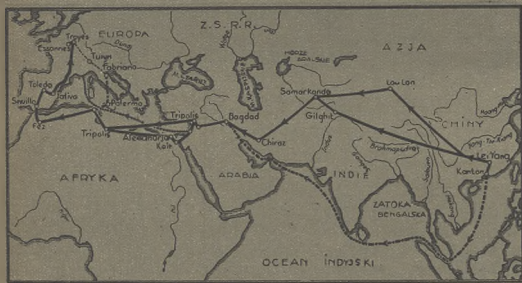
sowo zaciągniętych Polaków, Czechów, Słowaków itd., którzy na skutek naszej propagandy masowo przechodzili do partyzantki, kierując broń przeciw Niemcom.

Specjalnie chlubną kartę zepisała nasza emigracja polska w historii ruchu oporu we Francji. Czy to w górniczych okręgach Pas de Calais i St. Etienne, czy w Paryżu lub na słonecznym południu Francji, wszędzie tam, gdzie byli Polacy — za węgla do-

mów, spoza drzew — padali strzały przeciw Niemcom. W dalekiej Francji walczyli o wolność Polski. Lista bohaterów poległych jest długa i wiem, że gdy szli pod ślup egzekucyjny, usta ich szeptały „Jeszcze Polska nie zginęła”, a przed oczyma mieli wizję Polski Nowej, Polskę Ludowej.

Julia Pirott

Fotografie: autor



# Wehikuł myśli

(Historia papieru)

Materiał najpospolitszy, najbardziej rozpowszechniony, najmniej ceniony. Wszak od lat najmłodszych mamy go zawsze pod ręką, używamy do tysięcy najrozmaitszych celów. Z gazet zreczynię zwiniętych powstają pierwsze zabawki dziecięce: kapelusze małych napoleonów, wątle łódeczki; tak szybko tonące w miednicach imitujących oceany głębokie i strzały, wzbijające się na kilkanaście centymetrów nad ziemię — przedmiot naszej pierwszej dumy i rywalizacji sportowej.

A potem w szkole — ze stronic wyrwanych z zeszytów, tych pierwszych narzędzi pracy ludzkiej, zwija się potajemnie pod ławką kuleczkę, puszcza się ją w sąsiada, topiąc jednocześnie wzrok w książce z miną „z cicha pęk” „ja? skąd znowu? Broń Boże!”

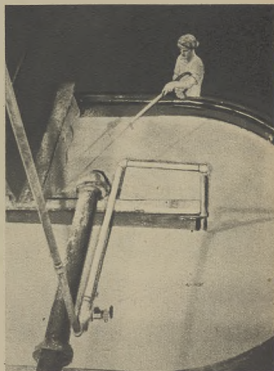
I pamiętacie — te pierwsze tragedie szkolne, gdy kula zamiast w koleżkę trafia w notes pana profesora? Dziś uśmiechamy się mimowoli, ale wtedy... ile to było wstydu, rozpacz, nawet łez

A potem jeszcze w starszych klasach gimnazjalnych... pierwszy niezgrabny czuły liścik... Oczywiście... listy milosne należą już dziś wyłącznie do archiwum prababci. Dziś mamy telefon, telegram, w ostateczności radio... Tylko dźwięk lub niedołęga oświadczył by się dziś listownie, czekał odpowiedzi... Ależ tak, tak, oczywiście...

Otóż papier znamy od najwcześniejszego dzieciństwa, używamy go codzień, obejść byśmy się już bez niego nie potrafili. Ale czyście się kiedy zastanowili nad tym, jak się tę rzecz tak banalną i rozpowszechnioną robi? Czy wielu z was wie o tym, że były czasy, gdy ludzkość nie знаła papieru, gdy musiała obchodzić się bez niego?

Historia. Jeszcze na długo przed wynalezieniem papieru ludzie dążyli do utrwalenia swoich myśli, do przekazania ich swym współczesnym i potomkom. Jeszcze w okresie przedłodowcowym nasz dziki przodek pokrywał niezgrabnymi, prymitywnymi lecz wymownymi rysunkami wnętrza grot, które mu służyły za schronisko, wilgotną glinę sąsiednich wzgórz, kości zjedzonych przez siebie zwierząt, później, znacznie później, odłamy kamie-

ni i piły metalowe. Z biegiem czasu tłem dla tych rysunków, dla tego pierwotnego pisma, stają się skóry zwierzęce, drzewo, kora drzewna, w krajach podzwrotnikowych długie, gładkie liście palmowe; w krajach kultury łaćcińskiej — tabliczki pokryte woskiem. Całe stulecia i dziesiątki stuleci trwa



...Dalej przenosi się je do okrągłego basenu, napełnionego bieżącą wodą

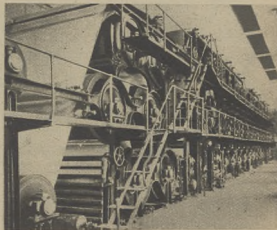
proces doskonalenia się narzędzi i materiałów służących do pisania...

Aż nareszcie w dolinie Nilu zjawia się papirus. Papirus to roślina rosnąca w północnej Afryce. Wąskie paski, przyrządzone z łodygi tej rośliny, połączone w starannie wyglądkowane, delikatne plecionki sklejało się następnie w arkusze mające do 15, 20 metrów długości i od 30 do 40 centymetrów szerokości. Arkusze te, pokryte pisemem, zwinięte w rulony składały się na olbrzymie biblioteki egipskie, część których przetrwała do naszych czasów.

Gdy produkcja papirusów nie może nadążyć za coraz wzrastającą potrzebą pisania, na zmianę jej powstaje produkcja pergaminu — ze skór jagnię-



Pokrojone szmaty rzucane się do wielkich metalowych koci



Z maszyny tej wychodzi galowy papier



cych i winel — ze skór nowonarodzonych cieląt.

A papier? Czy widziacie na naszej mapce, na wschodnim krańcu olbrzymiego kontynentu Eufracji krządek z podpisem „Lei Jang”? Tam to ponoć, w dalekiej, egzotycznej prowincji Hunan w tajemniczych Chinach, w II-gim w. naszej ery zrodził się wynalazek, któremu dziś zawdzięczamy tak wiele. Autorem wynalazku miał być Tsai-Loun, który ponoć pierwszy spośród śmiertelnych powziął myśl mechanicznego rozłączenia włókna szeregu ciał roślinnych i łądy bambusów, kory drzew morwowych (starych szmat być może także), by połączyćwszy je sztucznie, otrzymać tę rzec białą, miękką, podatną, gładką, którą nazywamy dziś papierem.

Kapłani i mandaryni chińscy trzymali wielki wynalazek w najściślejszej tajemnicy w ciągu 6 stuleci.

Pierwsi przeniknęli arkana nowej sztuki Arabowie, którzy pokonawszy Chińczyków w 751 r. w bitwie pod Samarkandą, zmusili jeńców chińskich, by ich nauczyli wytwarzania papieru. Gdy Arabowie zdobywają Hiszpanię, przenoszą do Europy także swe wytwórnie papieru. Pierwsze takie warsztaty powstają w w. XII w pobliżu Walencji. Do rozpowszechnienia papieru w Europie przyczyniły się nie mało wyprawy krzyżowe. Rycerze i kupcy europejscy przywożą z dalekich krajów jedwabie o tęczy barwach, złoto i klejnoty, drogie olejki i pachnidła i niemniej od nich ceniony... papier. W wieku XIII i XIV w krajach podówczas najbogatszych i posiadających najbardziej rozgałęzione stosunki handlowe ze wschodem, we Włoszech, Francji, Holandii, Niemczech i Austrii powstają pierwsze warsztaty wyrabiające papier.

W ciągu 3-ch następnych stuleci produkcja papieru rozprzeszczenia się na cały stary świat, przepływa przez ocean, ląduje u wybrzeży Ameryki.

Lecz zapotrzebowanie papieru wyprzedza jego produkcję. Zadośćuczynić rosnącemu wymogom pisarzy i czytelników można było tylko przez zmianę ręcznego dotąd wytwarzania na mechaniczne.

Pod koniec XVIII wieku Francuz Mikołaj Robert konstruuje pierwszą ma-

szynę papierniczą. Odtąd tysiące mechaników i konstruktorów pracowało i pracuje nad tym, aby zwiększyć wydajność, przyspieszyć tempo pracy tej maszyny. Miliony ton papieru produkuje się dziś na świecie, a jednak wzrost zapotrzebowania ciągle jeszcze wyprzedza wzrost produkcji. Zaprawdę, stary Tsai-Loun dobrze przysłużył się ludzkości. Dziś dopiero w całej pełni możemy tę zasługę ocenić.

Szmaty. Papier odbył długą podróż dookoła świata. Dotarł on aż do chłodnych krajów północy i do najdalej na południe wysuniętych wysp oceanów południowych. Ale nie na całej kuli ziemskiej przecież rosną bambusy i morwy, z których wyrabiano papier w Chinach. Okazało się jednak, że celulozę, niezbędną do tej fabrykacji, zawierają nie tylko egzotyczne rośliny. Wchodzi ona również w skład szmat bawełnianych, lnianych, konopianych. No a takich szmat jest dość pod każdą szerokością geograficzną.

Szmaty te, wyciągnięte przez szmalczarzy ze śmietników, kupione za grosze u skrzętnych gospodyń, wędrują do wielkich burtowni, gdzie się je podaje odkurzaniu i wstępnej segregacji. Bale szmat, posegregowane i zlekką już oczyszczone kieruje się do fabryki papieru. W fabryce sortuje się je i czyści powtórnie, bardziej starannie, po czym robotnice kroją je w drobne, kilkucentymetrowe paski.

Pokrojone szmaty wrzuca się do wielkich metalowych kadzi, mających od 2—3 metrów średnicy i poddaje potrójnemu działaniu higu (węglan wapnia lub węglan sody), pary i wysokiego ciśnienia. Po kilku godzinach wydebywa się starannie, odbarwione i nadające się do bielienia.

Dalej przenosi się je do okrągłego basenu, napełnionego bieżącą wodą. W basenie tym szmaty dostają się między wlrującą, zaopatrzony w metalowe ostrza cylinder a metalową, żłobioną podłużnie płytę i zostają przetarte na miazgę. Po kilku godzinach na powierzchni wody unoszącej ostatnie ślady brudu i farby, tworzy się gęsty słoć kilkucentymetrowych włókien — miazga papierowa. Miazgę tę bieli się roztworem chloru, po czym przemywa się starannie, aby usunąć chlor, który niszczy przy dłuższym działaniu delikatne włókna.



Z tego drzewa będzie papier



# U.N.A. • U.T.Y

— Czy przedko przeczytasz tę książkę? Najpierz się herbaty? Kiedy się spotkamy?

Bezustannie zadajemy tysiące najróżnorodniejszych pytań. Oto jeszcze jedno: czy można powiedzieć, o co pytamy najczęściej? Oczywiście. Zaraz się o tym przekonacie.

Ranek, gdy otwieramy oczy i zamierzamy wstać, pierwsza nasza myśl, pierwsze pytanie brzmi: która godzina?

Spróbujcie policzyć, ile razy w ciągu dnia zadajecie to pytanie znajomym, krewnym, a nawet i obcym, ponieważ nie posiadacie wskaźnika godzina — zegarka. W domu, na ulicy, w biurze, fabryce, sklepie i tremwaju najczęściej rzucane jest pytanie: która godzina?

Całe nasze życie ułożone jest według zegarka. Na kółki mierzymy czas z dokładnością do ja-

W istnieniu wszechświata, państw, narodów, poszczególnych ludzi — wszędzie rządzi czas.

Zdaje się nam, że ziemia jest ogromna, ale sławie jest od niej i 300 000 razy większe. Mialo kto używałaby sobie pojście miliona. Wyobraźcie sobie, że milion ludzi ujmują się za ręce i staje w szeregu. Jak myślicie, czy długi był by taki łańcuch? O, nawet bardzo, bo miał by aż 1630 kilometrów. Pierwszy człowiek w takim wypadku znalazł by się w Warszawie, ostatni zaś w Miessynie na Sycylii.

A czy to wiele — jedna minuta Drohobyla. Jednak 1 300 000 minut to prawie 2½ roku. Jedna minuta albo 2½ roku — oto zasadnicza różnica między Słońcem a Ziemią. Słońce wydaje się nam małe dlatego tylko, że widzimy je w odległości 150 milionów kilometrów. Dla astronomów to wciąż niewielka odległość. Najbliższa bowiem planeta systemu słonecznego — Pluton — oddalona jest od Słońca o 6 miliardów kilometrów. Miliard jeszcze trudniej wyobrazić sobie niż milion. Spróbujmy zrobić i to także.

Oto w ciągu jednej minuty nasze płuca wciągają powietrze od 18—20 razy. Życzę Wam, żebyście żyli tak długo, by zrobić choćby miliard oddychów. Na to musielibyście żyć 33 lat. Oto wielkość miliarda. Ale astronomom i miliardzy nie wystarczą.

Najbliższa nam gwiazda zwie się Proxima Centauri. Wyobraźcie sobie podróż do tej gwiazdy z szybkością wynoszącą kilometr na każde uderzenie serca. Przy takiej prędkości, t. zn. 75 km/min. do wędrowki naskoilo światła wylatarzyć by nam mniej niż 9 godzin. Na Słońcu zależełoby się dopiero pod koniec czwartego roku. Ale do przewędrowania na Proximę nie wystarczyłoby i z miliona lat. O dalszych gwiazdach i mówić nie warto. Tu powstają tak zawrotne liczby, że astronomowie, aby nie gubić się w nich, poszukali innego sposobu, za pomocą którego miarzą przestrzeń wszechświata.

Mierzą miarowicie międzygwiazdne przestrzenie za pośrednictwem czasu. Tu jednak posługują się prędkością, która została przyjęta w nauce — prędkością światła. Promień świetlny przebiega w ciągu jednej sekundy 300 tysięcy kilometrów. Ale astronomowie zmieśli jednostkę prędkości, gdzie droga przebyte nie przypada na sekundę, minutę, godzinę, dobę, ale na rok. co wynosi 9 460 000 000 kilometrów. Według tego promień świetlny od Proximy biegnie zaledwie 4 lata i 3 mies. A znamy gwiazdy, znajdujące się w odległości setek tysięcy i milionów lat świetlnych.

Jak widziacie, w porównaniu z bezbrzeżnym oceanem wszechświata ziemia nasza jest niedużą kruszynką. Historia tej kruszynki jest długą i bardzo ciekawą. Biografie naszej planety, jej skład i budowę bada geologia — nauka jeszcze bardzo młoda. W nauce tej istnieje jeszcze masa spornych pytań, nierozwiązanych zagadek. Geologowie ustalili jednak, że wiek ziemi wynosił mniej więcej trzy miliardy lat.

A teraz spróbujemy określić wiek ziemi porównując go z życiem człowieka. Założymy w tym celu, że ludzie żyją do 60 lat. Wyobraźcie sobie, że wędrujecie w dziczwajnej ma-

szynie czasu, która przenosi nas na 60 lat w przeszłość w ciągu jednej minuty.

Wtedy historia ludzkości od łamania czasu, aż do początku państwa egipskiego (t. j. około 6 000 lat), przemknie przed nami w niepełna 1½ godziny. Jeśli chcieli poznać się z naszymi dalekimi przodkami, pierwszymi protoplastami ludzi, to trzeba cofnąć się o milion lat w przeszłość, a droga ta będzie trwać 11½ doby. Lecz, aby być przy narodzeniu złami, należało by wsiąść do takiej doko-nieistniejącej maszyny przynajmniej na 100 lat.

Jedna minuta i sto lat — oto co otrzymujemy, zestawiając życie człowieka z egzystencją naszej planety.

Znacie piosenkę „Upływa szybko życie”? Nasze przedświadczenia, plany, radości, zawo-



dnej minuty, w instytucjach — do sekundy, w laboratoriach — do dziesiątych, setnych, a nawet tysięcznych części sekundy.

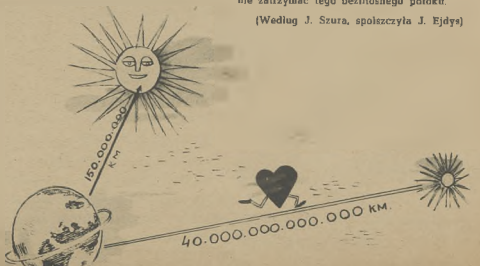
Martwy, często małecki mechanizm — a jak dryguje nami... Jeśli wsluchamy się w monotone cykanie zegarka i przyzwyczajamy się doń, stanie się on nie tylko regulatorem, ale i doradcą naszego życia.

Setki filozofów głośno się nad rozwiązaniem zagadki czasu. Pięknym mędrcem półtora tysiąca lat temu powiedział: „Gdy mnie pytają, co to jest czas, odpowiadam: nie wiem; gdy mnie jednak nie pytają — wówczas wiem”. Gdy jednak przesłaniemy mędrkować, podchodząc do czasu ze strony naszych codziennych zajęć praktycznych — przekonamy się, że nie ma tu żadnej filozofii.

Oto prosty przykład. Umawiacie się z przyjaciółmi lub z przyjaciółką na Marszałkowskiej, przy Teatrze Małym. Tak, adres mamy, ale brak to jeszcze... czasu. O której godzinie, kiedy?

Jeżeli mówimy o istnieniu czegoś, to nie wystarczy powiedzieć, gdzie to istnieje, lecz i kiedy. Rzeczy, uczucia, słowem wszystko ma swoje miejsce i swój czas, w którym istnieje.

Wyobrażamy sobie czas jako bezustanny bieg minut, godzin, lat. Jedna minuta jest podobna do drugiej i niczym się od niej nie różni, tak samo jak-równe są sobie dwa wieki.





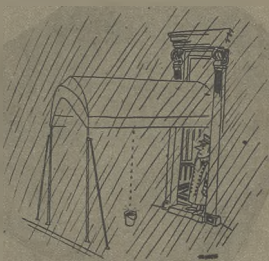
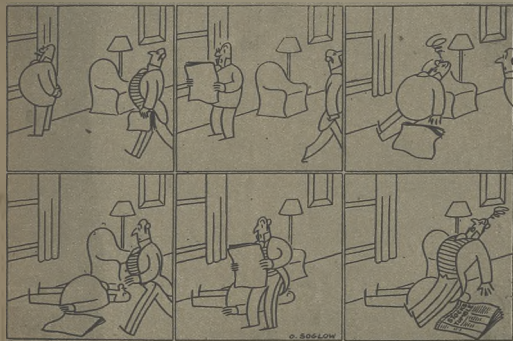
# Swojy robimy same

Nadchodzi jesień, koniec słonecznych dni i koniec... z letnimi sukienkami. Czas pomyśleć o ciepłej, praktycznej i taniej bluzeczce do jesiennego kostiumu. Tak, ale skąd?... Na to pytanie odpowiedzą nam druty, które każda z nas ma i trochę wełny, która nie będzie drogo kosztować. Na bluzeczkę jaką chcę zaproponować wystarczy 210 g cienkiej wełny, mocno skręconej. Wykonamy ją na drutach grubości 2 mm.

A teraz po powrocie z pracy usadowimy się, gdzie nam najwygodniej i zaczynamy robotę. Nawijamy na druty 130 oczek (plecy) i przerabiamy 7 cm ściągacza — 1 oczko na prawo, 1 na lewo. Następnie robimy ściąganiem jersey (1 rząd na lewo, 1 na prawo) 12 cm. Na 13-ym cm powiększamy szerokość o 1 oczko, powtarzając tę czynność co 3 cm. Na 30-ym cm wycinamy pachę i w tym celu zdejmujemy co 2 rzędy: 5 oczek, 3, 2 i 3 × po 1-ym oczku, co w sumie da nam 13 oczek po każdej stronie. Dalej prosto, dopiero na 17-ym cm, licząc od pachy, formujemy linię ramion, zdejmując co dwa rzędy: 2 × po 9 oczek i 2 × po 10. Na porostłych 40-tu kończymy plecy i zaczynamy przód nawijając 142 oczka. Jak poprzednio robimy 7-mio cm ściągacz. Dalej robimy ściąganiem jersey-marszczonym, t. j.: 1 rząd na prawo, 1 na lewo, przy czym do każdego oczka poprzedniego jedno dodajemy. Ilość oczek zwiększyła się teraz do 284-ech. Tak przerabiamy 12-cie razy, za 13-ym zaś oczka gubimy, chwytając po dwa oczka na raz. Dalej 8 rzędów przerabiamy zwykłym ściąganiem

jersey i znowu marszczenia. Po osiągnięciu 10 cm wysokości dodajemy z każdej strony po 1-ym oczku w sześciu rzędach niemarszczonych i po 2 w sześciu marszczonych. Przy 28 cm dzielimy robotkę na połowy, jedną z nich zostawiamy na drucie, drugą wykonujemy następująco: pierwsze 5 oczek ściąganiem pod-

wiązkowym (wszystkie oczka na prawo) w celu otrzymania brzegu; na 30-ym cm robimy wycięcie, zdejmując co dwa rzędy 6 oczek, 3 × po 2 oczka, 2 × po 3, 2 × po 2 i 2 × po 1-ym oczku (32 oczka). Zakończenie powinno wypaść na pasie niemarszczonym, inaczej bluzka straci efekt.





## „Ostatnia szansa”

Film produkcji szwajcarskiej, który ujrzymy wkrótce na naszych ekranach.

(Wytwórnia „Praesens-Film”, reżyseria Leopolda Lindberga)

Akcja filmu zaczyna się na terytorium Włoch w przededniu włoskiej kapitulacji.

„Noc Pociąg” uwozi jeńców alianckich. Nagle staje, spadają bomby, płoną wagony. Jeńcy rozprzeczają się. Ściga i kosi ich ogień broni maszynowej niemieckich strażników. Ocalało dwóch oficerów angielskich. Dokąd uciec się?

Niedaleko — granica włosko-szwajcarska. Węz tam... Szwajcaria, to najpewniejsza szansa.

Idą ku granicy. Spotykają w polu młodą Włoszkę. Znają tylko angielski, ona rozmawia tylko po włosku (film jest wielojęzyczny), nie przeszkadza to im jednak w nawiązaniu przyjaznej rozmowy — rozumieją się doskonale. Dziewczyna wskazuje im drogę do granicznego jeziora, ale ucieczkę zagranicę odradza.

— Bo przecież straż, reflektory, kule...

Anglików nie odstrasza to jednak. W jasną, księżycową noc wsiadają do łodzi i odbijają od brzegu.

Dobiega ich głos tej samej dziewczyny:

— Wracajcie, zawieszono bronie. (Kapitulacja Włoch).

Zawrócili i dowiadują się od niej, że ludność wsi i miast szaleje z radości. Na ulicach rozentuzjasmowane tłumy tworzą taneczne korowody. Zabawy, wesele, śmiech...

Oficerowie udają się do pobliskiego miasteczka. Lecz na ulicach nie ma żywej duszy. Pozatraskiwane okiennice — miasto wygląda jak wymarłe. Stało się coś...

Taki jest początek akcji tego filmu. Występują w nim Anglicy, Włosi, Francuzi, Niemcy, Austriacy, Rosjanie... Jest i Żyd z Polski. Toczy się walka o życie: z jednej strony ludzie miłujący wolność, przeciw nim — Niemcy i włoscy faszyci.



Film mówi właśnie o międzynarodowej solidarności wszystkich walczących z faszyzmem. W trudnej przeprowie przez góry i śnieżyce różnojęzycznej grupy uciekinierów, pokazano wzruszającą scenę tej solidarności — braterstwa w imię życia siniejszego niż śmierć.

Jest to pierwszy tego rodzaju film i ze wszech miar godny obejrzenia. Jest w nim żywa, poryjająca akcja, realizm i piękne obrazy natury. Są w nim nuty sentymentu i nuty brzmiące jak świsł kuli. Zrezyjni montaż i reżyseria dobrze synchronizują całość.

Oprócz tego — jest to umiejętna propaganda Szwajcarii i chlubne świadectwo szwajcarskiej kinematografii.



Osló. Finał 200 mtr. Zwycięstwo odniosła zawodniczka radziecka Settenowa (23,54 sek.) przed Jordan (Anglia) czas 25,5 sek. i Cairle (25,6)

Na międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych w Göteborgu czołowe miejsca w rzucie dyskiem zajęła nasza najlepsza dyskobolka Wajsbówna osiągając 39,18 m



Najlepsza dyskobolka świata — Dambóże (Z.S.R.R.) na mistrzostwach w Osló



Nasz mistrz w biegu na 5 km — Drzwonkowski (Warszawa) był na mistrzostwach w Osló w charakterze obserwatora



Moderówna — jedna z czołowych lekkoatletek Polaki

Kwańkiewska „w akcji”

# Bardzo świetnie

(Felieton sportowy)



Wyciągi motocyklowe o „Złoty Kask”

Nie do opisania rozdzielłem tym sędziemu mistrzom dziennikarstwa sportowego, którzy mieli jechać do Oslo, odwarzać batalię sportu europejskiego i radować nas wynikami naszych asów lekkoatletycznych. To też, gdy ujrzałem kolegę Dzwonkowskiego, odświeżającego mi się wnieśli jazdę do Oslo — blyskawicznie pomyślałem: teraz albo nigdy! Oczymi Dzwonkowskiego będę oglądał te cuda i zrobię taką bombę, jakiej polska prasa sportowa jeszcze nie miała. Pokażę i skłupione oblicze iemienika wielkiego cesarza Francuzów, zdawało się, gwarantowało powodzenie mego genialnego pomysłu. Uchwycyłem go kurczowo i zacząłem nastawać:

— Kolego Napoleonie (onże Dzwonkowski), wyjedźcie do Oslo na koniz naszego klubu nie jako zawodnik, lecz jako obserwator. Będziecie na trybunach i na boiskach treningowych, zobaczycie indywidualne zaprawy, masaż i t.p. Przypuszczam, że zaczekawą was różni style europejskich arcy mistrzów, lektyki ich walk, stary, finisz i nieskończona ilość tych mało widocznych, ale tak ważnych tajników lekkoatletyki.

Podpatrujcie, podsluchajcie, wyciągajcie chęć na migi wiadomości o sposobie treningu, cytowanemu formy itd. Pamiętajcie — co słamiście w trybunach bądź w prasie, tak i żeby pozostało w nim tylko miejsce na wasz podpis. Macie odpowiedzieć, przynajmniej, jak Trojanowski przed mikrofonem sprawozdawczym.

Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie.

Czytając sprawozdania z Oslo, umiechniałem się w przedmowa: „dopiero napiszę”. Po powrocie Dzwonkowski sprawił mi w stan podenerwowania i zdolałem tylko wyciągnąć rękę, by wyszeptać: „brulion”.

— Zapisałem tylko wyniki, ale wszystko doskonale pamiętam — spokojnie odpowiedział i usiadł.

Położyłem 10 arkuszy papieru, ołówkę wzięłem do ręki, drugi położyłem obok i słuchałem.

— Wszystko było bardzo świetnie — zanotowałem skrzętnie te ważne i krótkie słowa, podkreśliłem je i słucham dalej.

— Na jedzenie nie narzekam, było świetnie, omiękła kanulka polskiego — przyniesiono też bardzo świetna, byłymi nawet na dancingu. Modernowa świetnie tańczy, ale naprawdę bardzo świetnie to te zawodniczki Związku Radzieckiego.

Tu mi się złażał ołówek, wyczułem początek nadzwyczajnych informacji, więc chwyciłem naryn przedczy drugi i stenografuję:

— Dumbacie — najprzystojniejsza i najwesejsza — rzuca prześwietnie, rozmach dokonuje, stojąc tyłem do kierunku wyrzutu, obrót ma nie specjalnie szybki, natomiast wrzut z przeskokiem — blyskawiczny — zamilki.

Prawda, że nie powiedział tyle, ile się spodziewałem, ale przecież zaczęli i tosknęli się.

— No, a inni?

— Serwiukowa — to istny chłop, przypuszczam, że 15-kg osiągnie wkrótce. — Sotienowa swoje zwycięstwo na 100 i 200 m uzyskała w świetnej formie: niska, krępka, ładnie uśmiechniona. Fenomenalnie szybko przebięra nogami, żebym to ja tak mógł na swoje 5 km...

— Dalej, mów śmiało i żdziebko więcej, podawaj konkretne rzeczy, techniczne — dojdą mi bodźca.

— Bardzo świetny był mistrz na 200 m — Karalukow ze Związku Radzieckiego. Zwycięstwo jego było największą niespodzianką. Skąd ten major umie tak świetnie biegać?

— Przez eliminację ledwo przeszedł, natomiast w finale prowadził czoła — a jest to gość starszawy, nawet trochę łysy. Aha —

Kuzniecowa — ten drugi w dziesiątce. Starzy, średniego wzrostu, nawet zleżka przyszykowany.

Czując, że z tym wywiadem coś się psuje, a marzec ma być przyskaki, rozpaczyli zawałtem:

— Kolego, na zerwane ścięgiu Gieruty, mówcie cokolwiek, bo trupem padną! Tyś sam biegacz, dawaj mi tu biegaczy!

Olimpijski spokój nie opuścił Dzwonkowskiego. Jaski przedłużył milczenie, wreszcie zaczął:

— Pujazon — zwycięzca na 3000 m z przeszkodami, bardzo świetnie skacze. Wszystkie przeszkody pokonał jak dobry skoczek i plotkarz. Zeskok — na jedną nogę i sunie dalej, Bardzo mi się podobał Swedzi — Strand i Gustafsson; widąc, że są nadzwyczajnymi atletykami, technika biegu — bardzo świetna!

Kropiłty pod już nie zraszał mego czoła, ale ciurkiem kapł na leżące przede mną, niezapisane arkusze. Czulem, że odbywa się tu moje Waterloo. Nieśmiało, z błaganem jęknąłem:

— A kto jeszcze bardzo świetnie biegał?

— Ten murzyn Wint z Goteborgu kopał sobie dziwne dołki, z których wystrakiwał jak z katalupy. Świetnie to robił, a drugi czamy Bailey — stumetrowiec — jeszcze świetnie biegał!

Zapenawo wyraźnie kropiłwte milczenie. Czuje, że Napoleone patrzy na mnie dzwinnym wzrokiem, gdyż żył mi się w oczach zbierając.

— A Wooderson? Widziałeś go bracie? — zapytałem drewnianym głosem.

To go wyraźnie ożywiło.

— Dzwiny ty! Ma wygląda racowego, ale lamagi, nie mogłem wyrobić sobie, by w ogóle potrafił biegać, a tu wszyscy mówią i mówią o nim. Co za licha, może on okularami czaruje na bieżni swoich przeciwników? — I tu postanowiłem z nim pogiebać na treningu. Jeśli był mi odmówił, zaproponuję mu fory, a jak będzie go miał, zamknę oki, żeby mi nie zaszkodził tymi okularami. Z tą myślą udałem się do Siedleckiego. Nie rozumiem dlaczego mi wasz trener słanowco odradził, ale posłuchałem. Co trener, to zawsze trener. Heino też nie wygląda na groźnika. Dyrektor Isybryki, gdzie pracuję — o wiele rożnie wygląda. Podpatrywałem go podczas jedzenia obiadu. Apetyt ma bardzo świetny. Heino sobie, a ja sobie i zdecydowałem się biec z nim bezwzględnie. Stanąłem do biegu na 5 km.

Na 800 i 1500 m zrobiłem swoje rekordy życiowe, biegle mi się bardzo świetnie. Aż tu na płytym okrążeniu ujrzałem najwrażliwiej, jak jedna z polskich zawodniczek pali papierosa na boisku. Ogarnął mnie wstyd i złość, porzytałem się okropnie, wszystko mi się poplątało. Gdy strategicznie rozmyślałem się w sytuacji biegu, nie zauważyłem przed sobą niktę, z tyłu zaś wyraźnie zbliżał się do mnie Wooderson. Coś mu ukrutnie przyszło w zżkach okularów. Dyskretnie opuściłem bieżnię. Rozmijając w drodze powrotnej, zrozumiałem, że jestem za szywy, brak mi gimnastyki. Zrozumiałem, że nasze narkotki na „kaski” zaprawę trenera Siedleckiego na obwoje w Białobrzegu były co najmniej awaryjne. Żeby mieć wyniki, porcję białoobrzętkie należy co najmniej podwoić. W roku 1948 z bieżni zagranicznej nie zejść i będę na niej.

Kolega Dzwonkowski zamilki i czuję, że definitywnie. Nie chcąc mu przerywać myśli o przyszłych sukcesach, cicho wstąpiłem, zabierając jeden arkusz zapisanego papieru...

— Gdzie moja bomba?

Zygmunt Kalefaki



colbarr

Wychodzi dwa razy w miesiącu

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. „PEONIENIE”

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, DWORKOWA 3. TEL. 8-81-16  
EKSPEDYCJA: POZNAŃ, ARMII CZERWONEJ 1. — TELEFON 37-35.  
PRENUMERATA KWARTALNA — 60 ŻŁ Z PRZESYŁKĄ DO DOMU.  
PRENUMERATA WPLACAC NA KONTO P K O NR 1 42-52 W WARSZAWIE.

